

Południowa wyobraźnia Polaków

To, co miało uczynić Polskę silną, czyli tranzyt i pomostowość, teraz staje się przyczyną jej klęski



To, co miało uczynić Polskę silną, czyli tranzyt i pomostowość, teraz staje się przyczyną jej klęski. Po dwudziestu latach polityki tranzytowej Rzeczpospolita traci zdolność samodzielnego działania politycznego

Polacy postrzegają samych siebie jako zakleszczonych między Wschodem i Zachodem, a jeszcze dokładniej: między Niemcami a Rosją. Utyskiwanie na wybór między trumną Dmowskiego a

Piłsudskiego paraliżuje myślenie nie tylko geopolityczne, ale i kulturowe. Zakleszczenie między Wschodem i Zachodem ma bowiem dwa zasadnicze wymiary: kulturowy i geopolityczny.

Polacy zatem definiują się jako naród zawieszony między Zachodem i Rosją. Czasem oznacza to konieczność wyboru jednej z tych opcji. Po 1989 roku zaczęło się więc ubierać w „zachodnie” ubrania, jeździć „zachodnimi” samochodami i uczyć „zachodnich” języków. „Zachodniość” nie była przy tym określona wyraźnie. Żeby coś było zachodnie, musiało być – co rozumiały – wytworzone w krajach leżących na Zachód od Odry, ale przede wszystkim odróżniać się od tego, co wschodnie. Jakże jednak ta wschodniość różniła się od wyobrażeń naszych przodków. Dwieście, trzysta lat temu i wiele dawniej wschodniość to przepych i bogactwo. Polska miała swoje własne wyobrażenie orientu, jego politycznej kolonizacji i kulturowej absorpcji. Dawniej zatem Wschód oznaczał intensywność barw, zaś po doświadczeniu komunizmu – przeciwnie: szarość.

Dla szlachty czasów Rzeczypospolitej Wschód to ziemia obiecana, od XIX wieku miejsce zsyłki. Z obietnicy przeistoczył się w przekleństwo. Trochę inaczej było z ludźmi Wschodu, często towarzyszyli zsyłkom – nie rozumieli oni Polaków, jak Dostojewski, który utyskiwał na buntowniczych i niepokornych towarzyszy, ale odpowiedzią na to nie była niechęć Polaków do Rosjan. Od rusofobów w Polsce było zawsze więcej rusofili. W mniej lub bardziej bezmyślny sposób.

To wszystko sprawiło, że Polacy lubią określać się jako ci, którzy lepiej rozumieją ruską inność, podkreślają zarówno doświadczenie wielokulturowej Rzeczypospolitej, jak i lata tzw. trudnych relacji z Rosją

(swoją drogą, co za eufemizm!). I to jest prawda. Problem w tym, że wszyscy wpadliśmy w fiksację. Albo wybieramy Rosję, albo Niemcy. Wschód albo Zachód.

Wczesna III RP wypracowała jeszcze jeden model, coś zupełnie w swoim stylu: czyli miks jednego z drugim. W ten sposób powstała koncepcja Polski jako kraju tranzytowego, czyli takiej autostrady między Niemcami a Rosją.

Współgrało z tym jeszcze jedno określenie: Polska jako pomost między Wschodem i Zachodem. Coś, co nie ma tak naprawdę własnej i określonej substancji, ale może funkcjonować jako łącznik, zarówno kulturowy, jak i polityczny. W ten sposób to, co nie ma własnej substancji, może odegrać jakąś rolę, porwać się na quasi-podmiotowość, zdefiniować się jako relacja. Państwo jako pomost istnieje w sposób stały, ale spełnia się wyłącznie jako stosunek między dwoma elementami, wszystko, czego dokonuje do tej relacji się sprowadza.

Tak też funkcjonowała Polska jako kraj tranzytowy i pomost. Inwestycje w tym zakresie może nie szły i nadal nie idą zbyt szybko, ale i tak wyczerpują niemal całą aktywność polskiego państwa, jeśli idzie o inwestycje w dużą infrastrukturę. Ważne, że ten temat poruszał wyobraźnię w latach 90., a jego skutki widoczne są do dzisiaj. Przez ostatnie dwadzieścia lat koncepcja tranzytu z Zachodu na Wschód zastępowała myślenie strategiczne o miejscu Polski w Europie.

Dokonane inwestycje są niezbędne, ale warto zapytać, jakich przedsięwzięć za to nie podjęto, jakie były tego powody i jaką cenę za to płacimy. Weźmy dwa przykłady: polityka bałtycka i skomunikowanie polskich portów z południowymi sąsiadami Polski. Polska odpuściła zupełnie Bałtyk: upadek marynarki wojennej, w tym nieudana inwestycja w korwetę Gawron, która ostatecznie porzucono, nieskuteczna blokada Nord Stream, kryzys floty handlowej i rybołówstwa to tylko część zaniedbań. Dochodzi do tego niewykorzystany potencjał w kontaktach z państwami bałtyckimi, które stanowią poszerzając znacznie nasze możliwości manewrów w ramach sojuszy strategicznych. Tu jest wciąż niewykorzystany potencjał we współpracy ze Szwecją, która od dawna angażowała się w działania republik bałtyckich, a ostatnio jest coraz aktywniejsza w polityce wobec Białorusi, czego symbolem jest desant szwedzkich misji, który doprowadził Łukaszenkę do szału. Jeszcze niedawno wydawało się, że połączone siły polsko-szwedzkie mogą zmienić zasadniczo sytuację Europy Środkowej, dziś staje się na to za późno. Szwecja będzie tę rolę pełnić samodzielnie, wchodząc na te obszary, które opuściła Polska. Doprowadzenie do głębokiego kryzysu w relacjach polsko-litewskich oddało to państwo już całkowicie w szwedzkie ręce. Jeśli zaś nastąpi zmiana władzy na Białorusi, to Szwecja będzie miała tam do powiedzenia znacznie więcej niż Polska. Ten przykład świetnie pokazuje, jak bardzo fiksacja na linii Wschód-Zachód fałszuje obraz rzeczywistości. Zaniedbując kierunek północny, Polska może pozbawić się wpływu na najbliższy sobie Wschód.

Podobnie niewykorzystany jest potencjał Południa. Dlaczego nasi południowi sąsiedzi mają korzystać z portu w Hamburgu, na przykład, skoro łatwiej i dla nich bezpieczniej byłoby korzystać z Gdańska i Szczecina. Tylko jak to zrobić, skoro nie ma infrastruktury? Ale też jak

mogłaby być, skoro od lat walczy się wyłącznie o temat Niemiec i Rosji? Czy naprawdę musi być tak, że pozostaje nam tylko życie w cieniu dwóch wielkich panów, którzy na przemian układają się ze sobą i walczą, a my pilnie śledzimy ich kroki i zastanawiamy się, co sami począć?

Czy musimy być wyłącznie wypadkową polityki dwóch państw? To, co miało uczynić Polskę silną, czyli tranzyt i pomostowość, teraz staje się przyczyną jej klęski. Po dwudziestu latach polityki tranzytowej Rzeczpospolita traci zdolność samodzielnego działania politycznego.

Aby dokonać zmiany, potrzeba otwarcia geopolitycznej wyobraźni w Polsce. Choćby i ułańskiej. Połechtajmy więc teraz naszą wyobraźnię kilkoma obrazami.

A więc, po pierwsze, mówi się u nas o polityce jagiellońskiej jako skierowanej na wschód. Jej przeciwwagą ma być lansowana przez Radosława Sikorskiego karykatura polityki piastowskiej. Wszelako wyobrażenie o polityce jagiellońskiej było również karykaturą. Jagiellonowie nie kierowali się bowiem wyłącznie na wschód. Powiększywszy stosownie Wielkie Księstwo, obrali kierunek na zachód i przede wszystkim na południe. Zawarli unię z Polską, by następnie prowadzić aktywną politykę dynastyczną na południu. Mówić o polityce jagiellońskiej jako wyłącznie polityce wschodniej jest okaleczeniem najważniejszego dziedzictwa Jagiellonów. To tak jakby wykreślić z historii Rzeczpospolitej królową Bonę i polski Renesans – niezwykle udaną syntezę kultury uniwersalnej przejętej z południowej Europy z

całkowicie autonomicznym własnym wyrazem – politycznym i estetycznym. Nie jest przypadkiem, że dynastia jagiellońska przejęła władze w Polsce zaraz po węgierskiej.

W ramach reedukacji geopolitycznej Polacy na nowo powinni zwiedzać Wawel. Przy okazji zagłębić się lepiej w Kraków i Galicję. Jednym z powodów fiksacji na linii Wschód-Zachód jest bowiem kolonizacja nowoczesnej wyobraźni Polaków przez kulturę wytworzoną w obrębie dwóch zaborów: rosyjskiego i pruskiego. Jeśli dziś mówi się o opcji zachodniej lub wschodniej w polityce, to tak naprawdę myśli się o Prusach albo rosyjskim caracie, państwach od dawna nieistniejących. Trwające dwa wieki odcięcie Galicji od wyobraźni Polaków odcisnęło trwałe piętno na wyborach geopolitycznych dokonywanych później. Teraz trzeba powrócić i do Bony, i leczy, i kremówek. Przy okazji znakomitego piwa, które ważone jest tylko w Galicji.

Dlaczego Polakom w Galicji było nieco lepiej i dlaczego łatwiej asymilowali się w ramach monarchii austro-węgierskiej? Odpowiedź, że przyczyna była w złagodzeniu polityki zaborcy w drugiej połowie XIX wieku jest tylko częścią prawdy. Wydaje mi się, że zagrało coś jeszcze: charakter narodowy i wyobraźnia Polaków nie jest ani wschodnia, ani zachodnia, ale południowa. Marta Kwaśnicka nazywa to sensualizmem Polaków, który zbliża nas do Włochów i Hiszpanów, a różni od narodów północy. „Nasza wrażliwość tkwi w zmysłach” – pisze w jednym ze swoich esejów.

Nie znajdziemy swojego miejsca w Europie, jeśli będziemy udawać kogoś, kim nie jesteśmy. Jeśli na przemian będziemy przebierać się w niemiecki mundur i rosyjskie szynele. Jesteśmy południowcami i z

tym powinno nam być dobrze. To właśnie kierowanie się na południe – zarówno to klasyczne, jak i renesansowe, wyzwoliło najbardziej twórcze siły w polskiej kulturze. I z tego trzeba wyciągnąć wnioski także polityczne.

Ale jeśli kierujemy nasze wysiłki na południe, to definiujemy się także wobec północy. To jest pierwotny dla nas punkt odniesień, a przy tym manewr, nie bójmy się tych słów, zarówno piastowski, jak i jagielloński. To jest wyzwolenie się z zagrożenia zarówno niemieckiego, jak i rosyjskiego, nie przez negację, nie przez resentment, ale twórcze ustalenie innego układu odniesień, a następnie budowanie na tej podstawie polityki.

To jest kurs na Pragę, Bratysławę i Budapeszt. Co za tym idzie także Wilno, Rygę, Talin i Sztokholm.

Mateusz Matyszkowicz